

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

39

Ciąg dalszy

Przez otwarte drzwi słyszały, jak rozporządził, aby mu telefonicznie powiedziano, jaką jest sprawa Filipa Kikolskiego?

Wrócił do salonu i z uśmiechem:

— Wkrótce powiem, czy będę mógł coś pomódz?

— O, dla pana wszystko łatwe — uśmiechnęła się pani przyjaźnie.

— Sama pani wie najlepiej, że najważniejsza sprawa idzie mi opornie — spojrzał wymownie na Olę.

— Łatwe zwycięstwo nie jest zwycięstwem — zaśmiała się pani — czy dawno był pan u Martynowych?

I wśród tej pogawędki zabrzmiał dzwonek telefonu. Rotmistrz poszedł, słuchał, kilka razy rzucił krótkie pytanie, czekał odpowiedzi, wreszcie wrócił do pań:

— Telefon, to wspaniały wynalazek — uśmiechnął się — już wiem o protegowanym pani.... Był on pod dozorem, zauważono, że ma jakieś konszachty podejrzone, i sprawdzono, iż namawiał do organizacji fachowej zecerów, dostarczał im broszur, a przy rewizji znaleziono dwa numery „Wolności“ i podejrzone notatki. Do czasu wyjaśnienia i przeprowadzenia śledztwa zostanie we więzieniu, a gdy się nic więcej nie wykaże, będzie prawdopodobnie wypuszczony.

— I długo to będzie trwało?... Cóż zrobią żona, dzieci?

— Mogłbym powiedzieć, że to jego wina, i jeśli on o nich nie dbał, cóż to mnie obchodzi? Jednak ze względu na panią, i tylko dla pani, skrócę czas śledztwa, sam go przesłucham, i mam nadzieję, że za kilka dni będzie wolny.

— Serdecznie dziękuję panu — podała mu rękę, którą on ucałował.

Wszedł pan Sudkiewicz, a że miał świeże wiadomości z wojny, rozmowa z małymi przerwami toczyła się o zamierzonej ofensywie Kuropatkina.

Sikora wypuszczonego z więzienia, przywitano bardzo serdecznie w drukarni, wyprawiono nawet składkową ucztę w piwnicy, a ucieszony Sikora mówił:

— Nie tak mnie zmartwiło więzienie, bo co najwyżej przesiedziałbym się z pół roku, ale myślałem sobie: pewno odkryją drukarnię naszą, kiedy siedzę pod kluczem. I było mi bardzo smutno, pocieszałem się tylko tem, że wy umkniecie. Lecz gdyby w naszej nieobecności zrobili rewizję i przekopali piwnicę, hej Buczkę, obłowiliby się dobrze — wskazał oczyma na kąt, gdzie zakopane były pieniądze i inne dokumenta partyjne.

— Dzisiaj uważałam — rzekła Olga — dwóch podejrzanym dzi blisko bramy, poszłam Brzozową i weszłam od rynku do kamienicy.

— Zdaje mi się, że mnie śledzą — mruknął Walczak — czy nie zauważyliście tam gdzie starszego człowieka, e szpakowatą brodą, w długim palcie? Kapelusz miękki, czarny, z wielkim rondem.

— Ten był w podwórzu — zawołała Olga — i siedł za mną, ale wyprzedził mnie i poszedł dalej.

— To nic nie znaczy, weszła tylko... zawsze Tomasz nas uprzedzi — rzekł Bolek — ale że Heleny dzisiaj niema? Czy będzie, Stachu?

— Byłem u niej... trochę cierpiąca, ale obiecała przyjść później.

— Tem lepiej, bo dziś musimy kończyć odzwę... Do roboty.

Wśród ciszy usłyszeli nagle uderzenie drewnianka o miskę.

Nadsłuchiwali nieruchomo, wpatrzeni w pudełeczko, które szarpnięte, zakłótyło się znów w powietrzu.

Odezwał się łoskot drzwi otwieranych i ciężkie kroki, dudniące po kamiennych schodach.

— Idą! — szepnął Bolek. — Sikora do kasy, odkupuj! Stachu do mnie!

Skoczył w róg i palcami zakrzywionymi, krwawiąc się, odrzucał ziemię z deski, zakrywającej otwór.

Olga blada, zbierała spokojnie rzeczy, ubrania, zacierając starannie ślady, mogące zdradzić pracowników. Spojrzała na fatalne pudełeczko i w jednej chwili przystawiając krzesło, zdarła pudełko.

Wreszcie podnieśli wieko z otworu, a Bolek widząc, że Sikora męczy się z wydobywaniem szkatułki, podbiegł mu z pomocą, rzuciwszy Oldze słowa:

— Odwagi! Nie zginiemy!

Stach spojrzął w ciemny otwór, z którego dobywała się silna woń zgnilizny i rozkładu i pomyślał: Dobrze, że Heleny niema, udusiłaby się w tym kanale. Inagle, jak błyskawica, przebiegła mu myśl: a jeśli Helena, nie wiedząc o niczem, przyjdzie do drukarni i wpadnie w ręce czyhających żandarmów! Jeśli pewna siebie zapytała Tomasza o klucz, lub jeśli Tomasz nie będzie i pójdzie do pokoju Pasty i tam ją pochwycą!

Wstrząsły nim zimne dreszcze i patrzył niemal obłąkanym wzrokiem wokoło.

— Stachu! Dawaj sznur!

Podał bezwiednie sznur, a Bolek:

— Czy boisz się? Takiś błąd.

— Helena... przyjdzie — jęknął.

— Nie puści jej Tomasz. Olgo, gotowaś?

— Jestem.

— Pierwszy pójdzie...

— Ja idę — rzekł Stach stanowczo — wezmę co każesz, ale muszę być pierwszym.

— Dobrze, niech będzie... Drugi Sikora, gdy zmęczysz się, Stachu, oddasz Sikorze szkatułkę...

Posłyszeli wyłamywanie kłódki, przekleństwa i rozkaz przyniesienia siekiery.

— Otkrojtę! po przykaz! — zabrzmiał rozkaz.

— Zaczekaj kochaneczku — zaśmiał się Bolek — trzecia Olga, a ja zamykam pochód. Lampy zabrać.

Kolejno wchodzili w otwór, w który Bolek wrzucił wszystkie druki gotowe i papiery.

Rozpoczęło się gwałtowne wysadzanie drzwi z zawias, lecz sztaby piszczały, wyginały się lekko, trzeszczały, ale nie puszczały.

Odezwały się bardzo silne uderzenia siekiery, i rozłupana deska padła i zesunęła się po ciężkiej zasłonie wojłkowej.

— Łotry, syknął żandarm — zasunęli sztaby... przynieście łom!

— Nie ujdziecie, przekleci!

— Dostaniemy was, sukiny! —

Grzmiały głosy w kurytarzu

Bolek schodził w otwór spokojnie, przyświecając sobie lampą, i o ile mógł starannie przysłaniał otwór do kanału, nasuwając bokiem ziemię na wieko.

— Bolku, chodź! — naglił Walczak — wpadną do piwnicy i będą nas gonili.

— Macie rewolwery — rzekł Bolek spokojnie — pogoń niemożliwa.

— Naprzód! — zawołał Sikora.

— Stójcie! — krzyknął Bolek — muszę się wrócić. Pudełko zdradzi Tomasza, to byłoby podłością.

— Pudełko zniszczone — zatrzymała go Olga za rękę — chodźmy!

— Jesteś święta — ucałował jej rękę.

Uszli kilkanaście kroków, brodząc niemal do kolan, w brudnej, cuchnącej, lepkiej cieczy. Spłoszone szczury zrazu uciekały, nadbiegły jednak inne z dalszych kanałów i czepiały się sukien, zwłaszcza spodnicy Olgi.

Po pierwszym, gwałtownym podnieceniu, nastąpiła chwila reakcji, i teraz dopiero odczuli grozę swego położenia.

Powietrze przesyczone odpadkami, zgnilizną, odchodami zwierzęcymi i ludzkimi stawało się duszne do niemożliwości oddychania.

Ocierali się o lepkie, oślizgłe, wstrętne resztkami pokryte sklepienie i ściany. Cuchnące, zgniłe krople padały na nich ze wszystkich stron, a rozuchwalone szczury wskakiwały na nich z piskiem, z chlupotem, z błyszczącymi zajądłosciami oczyma.

Stach szedł równo, śmiało, zdawał się być nieczułym i niewrażliwym, tylko od czasu do czasu zrzucił zbyt natrętne szczura, przystanął, by poprawić szkatułkę i szedł naprzód.

Za nim włókł się Sikora, często poślizgując się, przyczem uderzał głową o ściany, lub też pomagał sobie rękami. Lampę, którą niósł, stłukł wkrótce, i klnąc, stękając, zdążył za Stachem.

Olga szła sztywnie, starała się jak najmniej oddychać, i rozmyślnie odnawiała w mózgu niebezpieczeństwo odkrycia drukarni, czekający Bolka i ją stryżek, okropność śmierci, aby się znieczulić na wstrętne otoczenie.

Uszli może ze czterdzieści kroków, i Olga czuła takie osłabienie, zawrót głowy, omdlenie nóg, że z ostatnim wysiłkiem posuwała się zwolna. Wtem wypadła jej z rąk lampa i ze sykiem utonęła.

— Co ci Olgo? — spytał czule Bolek.

Odpowiedź jej zagłuszył gwałtowny stuk za

nimi, a po chwili posłyszeli trzask zapadającego się wieka z otworu do kanału.

— Są na naszym śladzie! — zawołał Bolek — naprzód!

Lecz i te słowa nie zdołały pobudzić Olgi i gdyby nie ręka Bolka, byłaby upadła na wznak.

Przytrzymał ją i objawiając w pasie, szedł zwolna, ciągnąc ją przy sobie. Czuł jednak, że słabnie, że coraz niżej opuszcza Olę, rzucił więc lampę i mając dwie ręce wolne, szedł dalej.

Owionęło go czystsze powietrze i ledwie dostrzegalne światło: dojrzał w górze otwór łączący kanał z ulicą miasta.

Zawołał na towarzyszy, odezwali się w oddali.

— Zaczekajcie!

Dowlókł się do nich i wskazując na Olę:

— Zemdlała... Sikora, potrzymajcie ją przez chwilę... odetchnę.

Trwoga o Olę i jej życie uczyniła go zupełnie obojętnym na smrodliwe wyziewy, na ciecz lepka, na szczury, stonogi i karaluchy, które bezkarnie łaziły po nim. Zdawało się, że on nie widzi różnicy, ani w powietrzu, ani w miejscu. Odetchnął kilka razy głęboko, otarł pot z czoła i rzekł głosem spokojnym:

— Stachu! Pilnuj lewej strony... musimy znaleźć stary kanał, bo przy ujściu nowego czekają żandarmi.

— Wiem... chodźmy!

— O jakie piętnaście kroków, odkryli stary kanał, otwór jednak był tak wąski, iż tylko jeden Sikora mógł się ruszyć.

Chwilę stali bezradnie.

— Sikoro, spód suchy? — spytał Bolek.

— Prawie.

— Biercie kasetkę, a ty Stachu do roboty, pomogłbym wam, ale Olga...

— Nie trzeba, zrobię swoje — mruknął Stach.

W chwiejnym oświetleniu jedynej lampy widać było jak przeżyły się muskuły Stacha, słychać było jak trzeszczały stawy. Nareszcie wyrwał dwie cegły. Górne poszły łatwiej i w jakie dziesięć minut, otwór o tyle, o ile, był gotów.

— Właz Stachu, podam ci Olę.

— Dobrze... ale idę pierwszy, słyszycie Sikoro, ja pierwszy.

— Słysz.

W starym kanale powietrze było świeższe a cuchnący płyn nie sięgał kostek, natomiast kanał był niższy.

Bolek próbował nieść Olę przed sobą, na plecach, obok siebie, jednak z bardzo wielkim trudem posuwał się zaledwie kilka kroków i odpoczywał kilka minut. Już zamierzał wezwać Sikorę, by wziął Olę za nogi, a on sam za głowę i ręce, gdy stojąc na przeciągu świeższego powietrza, poczuł poruszenie Olgi, i szept słów niezrozumiałych.

Nachylił się i głosem najczulszej matki zaczął przemawiać.

— Obudź się Oldziu!... Uratowana jesteś! Oldziu najmiłsza! najśłodszą! Otwórz twe oczęta... Obudź się!

Olga otworzyła oczy i szepnęła:

— Gdzie jestem?... Gdzie żandarmi?...

— Oldziu, to ja.

— Bolku, żyjesz! — starała się wyprostować, a uderzwszy głową o sklepienie — to kanał... daleko jeszcze?

— Dostę rozmowy — zawołał ostro Stach: — chodźcie naprzód!

Uszli ze sto kroków, a kanał tak zmalał, że mogli się posuwać na czworakach, a następnie tylko czołgać.

Pierwszy wysunął głowę Stach, rozejrzał się bacznie i wypchnął, z kolei wysunęli się inni.

O jakie dwadzieścia kroków błyszczała Wisła od światła latarni.

Chwilę oddychali, rozglądali się ciekawie wokoło, doznawali wrażenia, że gdzieś z grobu, z drugiego świata, przyszli po długich wędrówkach podziemnych, i nie mogli dosyć natrząść się na niebo zasnuwane chmurami, na szemrzącą Wisłę, na huczące w górze miasto, i dosyć nacieszyć się świeżym powietrzem.

Pierwszy zerwał się Stach.

— Idę umyć się do Wisły... i odchodzę.

— Nie bądź waryatem — zawołał Bolek — jak zobaczy cię stójkowy, odprowadzi cię do cyrkułu.

— To nic nie znaczy... dojdę do Jerozolimskich nad Wisłą, a potem, jakoś podeschnie.

Za jego przykładem poszli inni, a Bolek z wielką troskliwością przynosił wodę w kapeluszu, aby zerzeć brudy ze sukni Olgi.

— Dajcie spokój Bolku, ja sobie poradzę. We-